

Klucz do sukcesu: wiara, przekonanie i... ciężka praca

Wojciech K. Szalkiewicz

„Kluczem do ostatecznego zwycięstwa jest nasza wiara, nasze przekonanie, że zwyciężyć można i trzeba” – oświadczył Jarosław Kaczyński kilkanaście minut po zamknięciu lokali wyborczych w ostatnią niedzielę. I z pewnością miał rację.

O tym, jak ważna jest determinacja, wola, przekonanie o możliwości wygrania chyba nikogo nie trzeba przekonywać. To jeden z najważniejszych czynników decydujących o sukcesie, także w walce politycznej. Te wybory potwierdziły tę tezę dwoma przykładami: sukcesem Grzegorza Napieralskiego oraz porażką Waldemara Pawlaka.

Niewątpliwy sukces – III miejsce w I turze – lidera SLD wynikał z jego determinacji w walce, jednak nie o prezydenturę, ale tak naprawdę o polityczne „przetrwanie”. Przecież jego „kandydatura na kandydata” lewicy do fotela prezydenckiego miała być – dla wielu jego partyjnych przeciwników – sposobem na pozbycie się go, nie tylko ze stanowiska szefa lewicy, ale może i nawet z szeregów partii. Gdyby tylko osiągnął mierny wynik – tj. na poziomie słabych notowań Sojuszu, zapewne jego godziny byłyby policzone. Stąd też i zapewne jego niewątpliwie autentyczne zaangażowanie się w tę kampanię i ciężka walka o każdy głos.

Tej determinacji, a nawet odrobiny zaangażowania, zabrakło natomiast niewątpliwie Waldemarowi Pawlakowi. Nawet z kamiennej twarzy lidera PSL-u można było odczytać, że startuje w tych wyborach bez szans czy nadziei na sukces. Wystartował, bo „powinien był”, bo partia musiała się pokazać przed – najważniejszymi dla ludowców w tym roku – wyborami samorządowymi. Praktycznie „żadna”, chociaż niezmiernie kosztowana (bo kosztowała aż 3,5 mln zł, co oznaczało, że zdobycie poparcia jednej osoby kosztowało jego sztab ponad 11 zł) kampania Pawlaka przyniosła niezmiernie mizerne efekty – 294 273 głosy, czyli 1,75 proc. poparcia. To może drogo kosztować. Ludowców – w najbliższych wyborach, jak i samego Waldemara Pawlaka – już bowiem pojawiają się głosy, że „musi odejść”. Jego klęska może więc mieć dla PSL-u olbrzymie skutki polityczne. Na razie jednak, przyniosła liderowi ludowców straty finansowe – dwie pensje, które przegrał zakładając się z dziennikarką TVN24 o swój wynik wyborczy. Osobiście, przynajmniej na razie, raczej nie zakładałbym się o jego polityczną przyszłość.

W tym miejscu i z tej perspektywy warto spojrzeć na pierwszą fazę kampanii dwóch liderów.

W przypadku Bronisława Komorowskiego, tak jak i u Waldemara Pawlaka, widoczny był brak silnej motywacji. W tej fazie kampanii, można było odnieść wrażenie, że kandydat PO walczy nie o urząd Prezydenta RP, ale tylko o „zyrandol” i do takiego celu dostosowuje swoje działania. Sztab Komorowskiego pozostawał bierny, defensywny, bez pomysłu, a można było powalczyć o sukces w I turze. Był to cel realny, co pokazywały sondaże z początku kampanii. Dałoby to nie tylko Komorowskiemu, ale przede wszystkim Platformie, zdecydowanie silniejszą pozycję na scenie politycznej. Widać jednak było, że w walkę o pałac prezydencki PO nie zaangażowała wszystkich swoich sił – z premierem Tuskiem włącznie (i nie „zwalalbym” tego na powódź). W 2005 r. strategia polegająca jedynie na „dowiezieniu” przewagi sondażowej do wyborów okazała się dla Platformy zabójcza. Czyżby w jej sztabie nikt nie wyciągnął z tego wniosków?

W mojej opinii dużo silniejszą motywację, a tym samym zdecydowanie lepszą kampanię miał niewątpliwie Jarosław Kaczyński. Pamiętać jednak przy tym należy, że jego celem była na tym etapie nie prezydentura, ale – „nie dać się wyeliminować w pierwszej turze”. Osiągnięcie przez kandydata PO ponad 50 proc. wyniku, czy też zajęcie przez kandydata PiS III. miejsca, oznaczałoby dla Kaczyńskiego kolejną wyborczą porażkę i realną wizję politycznej emerytury na stanowisku honorowego prezesa. Obecnie, nawet prognozowana przez sondaże, porażka w drugiej turze nie jest już dla J. Kaczyńskiego „groźna”. Jeżeli nie wygra to i tak zachowa, a nawet umocni, swoją pozycję w partii.

Trzeba jednak przyznać, że Kaczyński ma nadal silną motywację. Podczas wspomnianego na początku wieczoru wyborczego, mówił do swoich zwolenników: „Musimy zwyciężyć dla Polski”.

Nadal zarówno prezes, jak i partia mają bardzo silną chęć i wolę, aby przede wszystkim „odkuć” się na Platformie za przegrane wybory 2007 i 2009 roku. Poza tym prezydentura jest w zasięgu ręki i podobnie jak w 2005 r. może się udać...

Nic dziwnego, że w tej walce Jarosław Kaczyński jest gotów na gesty i słowa, które nie tylko zaskakują, ale wręcz szokują. Stwierdzenie, że w Polsce nie ma już „postkomunizmu”, tylko najwięksi fani prezesa i najzagorzalsi pisowcy mogą jeszcze uznać, za skutek „przemiany” J. Kaczyńskiego pod wpływem śmierci brata.

Niestety nie ma we tym już żadnej „traumy” – jest normalna walka o głosy. Prezes Kaczyński był i jest politykiem z krwi i kości.

W 2005 r. nie zawahał się sięgnąć po głosy Samoobrony i poparcie Andrzeja Leppera. I nie ważne, że rok wcześniej m.in. na czacie portalu Gazeta.pl (22.03.04 r.) deklarował: „Mamy dwa wyraźne zakazy, które dziś obowiązują w samorządach, a będą też obowiązywać

w nowym parlamencie – SLD i Samoobrona. A dziś powinno się powiedzieć odwrotnie – Samoobrona i SLD”. Warto też dodać, że jak informował „Super Express” (19.04.06 r.), aby podpisać umowę koalicyjną z Samoobroną, Rada Polityczna PiS musiała uchylić swoją własną uchwałę z kwietnia 2002 r. o zakazie współpracy z tą partią. „Ale tylko w części dotyczącej Samoobrony. Zapis o zakazie koalicji z SLD obowiązuje nadal” – zarzekł się na łamach „SE” poseł Marek Suski. Ciekawe, czy uchwała nadal obowiązuje? Bo przecież niecały rok temu Jarosław Kaczyński pozwolił na zawiązanie „medialnej koalicji” pomiędzy PiS i SLD, która ponownie „odzyskała” dla PiS-u przynajmniej część mediów publicznych tak ważnych w tym roku wyborczym. Warto przypomnieć, że w tym czasie, członków Sojuszu, który był jeszcze wówczas „postkomuną”, określał m.in. jako „hołotę”.

O ile, w tym kontekście, można chyba sobie wyobrazić przejście (ale tylko „wyborcze”) Jarosława Kaczyńskiego „tam gdzie kiedyś stało ZOMO”, o tyle, sytuacji w której Grzegorz Napieralski otwarcie namawia członków SLD i sympatyków lewicy do głosowania na Jarosława Kaczyńskiego, wyobrazić już chyba sobie nie zdołam. W mojej ocenie byłoby to dla niego polityczne samobójstwo. A może jestem zbytnim racjonalistą?

„Cóż, przecież to jest polityka” – mawiał książę Karol Maurycy de Talleyrand, który w swoim życiu dokonywał nie takich politycznych wolt.